

Jak miło i błogo jechać na egzamin z pustą głową... a wszystko zaczęło się tydzień wcześniej, gdy Kamila, na kolejnym niezwykle ciekawym wykładzie kursu 08, stwierdziła z całą stanowczością, że musimy jechać na ten wyjazd egzaminacyjny, bo taka okazja może się już więcej nie powtórzyć, a warto było by zobaczyć, jak to wygląda. I ani się spostrzegłszy siedzę w nie dogrzanym tramwaju z Kamilą, jadąc na ulice Dawida w sobotni poranek 29 marca. Tu czekają na nas jeszcze Bogusia, Leszek i Kuba, również uczestnicy obecnego kursu 08 i razem tworzymy małą grupę ciekawskich... to znaczy małą grupę wsparcia.

Rozglądam się wokół i na twarzach pozostałych widzę skupienie i zmęczenie. Przecież nie dalej jak wczoraj, musieli wykazać się swoją wiedzą, na egzaminie teoretycznym. Najpierw zdawali część testową, której niestety nie zaliczyło 10 osób, a zaraz po tym czekała ich część ustna. Łącznie podeszło do egzaminu 28, a dziś z nami jest 18., w tym 13 z ramienia Studenckiego Koła Przewodników Sudeckich. Wczorajszy egzamin trwał dość długi i jeszcze emocje nie zdążyły opaść, a już wznoszą się na nowo.

Wsiadamy do autokaru. Szanowna komisja w składzie Kazimierz Biernacki, Krzysztof R Mazurski, Zbigniew Stępel, z przodu, a nasza „grupa wsparcia” i kierownik wycieczki Krzysztof, na samym końcu. Pomiedzy nami siedzą bohaterowie dzisiejszego wyjazdu i tu atmosfera wydaje się być najgęstsza. W powietrzu wyczuwalny jest stres i przejęcie, ale czy można się temu dziwić? Przecież przez dwa dni, kandydaci na Przewodników Sudeckich, będą prezentować umiejętności, nad którymi ciężko pracowali niemal dwa lata, albo jeszcze dłużej. Mimo przejęcia, atmosfera nie jest jednak grobowa, a na pewno nie jest taka na ostatnich fotelach autobusu ☺.

Egzamin rozpoczyna się od krótkiego powitania i przedstawiania zasad. Każdego z uczestników czekają trzy zadania: prowadzenie wycieczki na odcinku autobusowym, pieszym i inne: czyli pierwsza pomoc, praca z mapą lub omówienie panoramy. Wszystko nadzoruje pani Ewelina Bogacz Kaniewska, ona też dzierży złotą torbę, z nazwiskami wszystkich zdających. Pierwszą osobę losuje komisja, a wywołany od razu losuje swojego następcę, tak aby miał chwilę na przygotowanie. Wszystko więc zależy od ślepego losu, a kolejni przewodnicy będą wyznaczani przez swoich poprzedników, aż do wyczerpania karteczek z nazwiskami.

Wyjeżdżamy z Wrocławia nie napotyając korków, mimo, że jest już po 9.00... i tu niespodzianka, zmiana przewodnika i tuż po wyjeździe z Bielń Wrocławskich, rozpoczyna się opowieść o Strzegomiu. Hmm czyżby tak niepostrzeżenie Strzegom rozszerzył swój zasięg niemal pod sam Wrocław? Zdawać się może, że jedząc w kierunku Strzegomia, zjeżdżając z „autostrady strzegomskiej”, do „Kątów Strzegomskich” i dalej, aż do „strzegomskiego Strzegomia”. Tu wysiadamy, bo czeka nas pierwszy odcinek pieszy, czyli strzegomskie koty, za strzegomskie płoty. Idziemy do bazyliki pod wezwaniem św. Piotra i Pawła, a oczom naszym, ukazuje się piękna gotycka świątynia z mnóstwem detali architektonicznych. Nie łatwe zadanie dla początkującego przewodnika, szczególnie gdy komisja nie przyryka oka, a skrupulatnie wyłapuje wszystkie błędy. Znowu cieszę się, że póki co, mojego nazwiska nie ma w małej torbeczce i nie zostaną zniemacka wywołana do odpowiedzi. Poprzeczkę podnosi jeszcze obecność lokalnego pasjonata i miłośnika Strzegomia, wiedzącego o nim niemal wszystko, który towarzyszy nam podczas zwiedzania miasta. Jednak mimo pierwszego wrażenia, że komisja jest nieprzychylna i że zadanie za trudne, w miarę upływu czasu, opowieści o kościele, coraz płynniej i śmielej wychodzą z ust przyszłych przewodników. Raz dwa i po wszystkim, w przeraźliwie zimnym kościele zapoznając się ze sklepieniami, ołtarzem, amboną, historią i detalami architektury, spędzamy jedynie dwie godziny... pewnie nie wiele w porównaniu z tym ile jeszcze można by o tym miejscu opowiedzieć, ale wystarczająco dużo aby zmarzły mi ręce na kość. Tym entuzjastyczniej witam promienie słońca które zechciało wyjść zza chmur. Jeszcze zwiedzanie rynku i znowu jesteśmy w autobusie.

Nie przypuszczałam nawet, że można tak szybko się rozleniwic. Wydawało mi się, że spędzenie takiej ilości czasu w aucie będzie nieprzyjemne, a teraz cieszę się, że znowu ruszamy, a ja wygodnie (w miarę) siedzę w swoim fotelu. Podróż jest jednak bardzo krótka, bo podjeżdżamy jedynie pod Górę Krzyżową. Wdrapujemy się na jej szczyt, skąd roztacza się przepiękna panorama. Łaskawa pogoda pozwala nam podziwiać widoki, a komisji pozwala na sprawdzenie umiejętności przewodników, z zakresu kartografii. Schodząc czuję to, czego nie przewidział jak do trąd żaden z egzaminowanych... póki co nie było jeszcze żadnej przerwy na toaletę. Okazuje się, że nie tylko ja to zauważyłam i tak grupowo chyłkiem ruszamy w pobliskie objęcia natury i już nieco lżej, w dalszą drogę.

Niestety Strzegom zajął nam tyle czasu, że odwiedzenie zamku Świny i „Bolków” jest już nie możliwe, więc od razu jedziemy do Krzeszowa, gdzie z uwagi na przedłużającą się w nieskończoność renowację kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, zwiedzamy barokową świątynię pod wezwaniem św. Józefa. Kościół przepiękny, niezwykle ciekawy, ozdobiony freskami Wilmanna i co ważniejsze... dużo cieplejszy. Jest już popołudnie. Kolejne osoby wykazują się swoją wiedzą, a komisja coraz przychylniej patrzy na zdających. Albo są już zmęczeni i coraz mniej wymagający, albo egzaminowani, nie są już tak zdenerwowani i wszystko przebiega coraz sprawniej... a może wszystkim nam spieszo na obiad, który zaplanowany jest zaraz po wyjściu z kościoła?

Jednak w Krzeszowie nie jest nam dane zaspokoić głód, z powodu braku wystarczającego zaplecza gastronomicznego. Nie tracąc rezony, podejmujemy szybką decyzję i już na posiłek jedziemy do schroniska „Andrzejówka”, przejeżdżając przez Rybnice Leśną, gdzie mijamy rozświetlony drewniany kościół św. Jadwigi. Mamy go zwiedzać po obiedzie, a na razie odbywa się w nim ślub. Pada w prawdzie propozycja aby wkręcić się na wesele, jednak ostatecznie lądujemy w Andrzejówce, na pysznym obiedzie. Ze swojej strony mogę śmiało polecić frytki i łane tam piwo ☺. Wszystko co dobre szybko się kończy, a że obiad bardzo dobry był, to też znów jesteśmy w autokarze i jedziemy do mijanego już kościółka. Możemy go jednak obejrzeć jedynie z zewnątrz, gdyż weselnicy zabrali ze sobą klucze od świątyni... co znów ożywia pomysł, aby jednak zajrzeć na to weselisko. Dzień ma się już ku końcowi i zmęczeniu, a najbardziej zapewne zmęczeni są egzaminowani, udajemy się do Sokolca, gdzie czeka nas nocleg w ośrodku „Wisła”.

Grupa wsparcia kwateruje się w jednym pokoju, bo będziemy chyba jedynymi, może poza komisją i szanownym kierownikiem wyprawy, którzy będą dziś spać. Zanim jednak ktokolwiek pomyśli o śnie, trzeba zadbać o żołądek. Po niewielkim posiłku „grupa wsparcia”, wycofuje się do pokoju, aby tam małymi porcjami, płynnie zakończyć ten pierwszy dzień pełen wrażeń. My spaliśmy, a „stukanie” odbijało się echem jeszcze do późnych godzin nocnych.

Ranek przyszedł w prawdzie za wcześnie, ale okazał się przynajmniej słoneczny. Po śniadaniu znów jesteśmy w autokarze, który zdążyłam już bardzo polubić. Pierwszy przystanek to Wambierzyce i sanktuarium Maryjne, a po nim zwiedzanie Kalwarii. To jak świat mistyczny i religijny, przeplata się tu ze zwykłą codziennością robi niezapomniane wrażenie. Po drodze podziwiamy jeszcze pstrągi i znów jesteśmy w autobusie. Ruszamy drogą stu zakrętów i już prowadzący roztacza przed nami wizję ujrzenia Sroczego zakrętu, gdy coś zgrzyta i stajemy na środku drogi. Kierowca wysiada, wraca i ruszamy dalej. Po chwili, znów coś zgrzyta, stajemy, kierowca wysiada, wraca i ruszamy dale. Nie ujeżdżamy jednak daleko gdy znów coś zgrzyta, znów stajemy, kierowca wysiada jak poprzedni, wraca... ale już nigdzie nie ruszamy.

Ma to być drobna awaria, ale gdy kolejna osoba, umorusana po łokcie w oleju rezygnuje z dalszych napraw, powoli staje się jasne, że już tym autokarem nigdzie nie pojedziemy. Początkowo czekamy na przebieg wydarzeń, jednak gdy dłuższy postój staje się nieunikniony, komisja korzysta z okazji i zaczyna męczyć kursantów przepytując ze znajomości pierwszej pomocy, roślinności i kartografii. W rezultacie spędzamy na tym kawałku drogi ponad trzy godziny, czyli dłużej niż poświęciliśmy na jakikolwiek inny zabytek podczas tej wyprawy. Sam postój nie jest nawet szczególnie uciążliwy, jednak nurtuje nas jedno zasadnicze pytanie: „czy silnik nie mógł odmówić posłuszeństwa przy jakimś przytulnym pubie, lub choćby budce z piwem?” W końcu słyszymy radosną wieść, że za pół godziny przyjedzie po nas zastępczy autokar. Po upływie tego czasu rzeczywiście pojawia się piękny, nowiutki autobus. No no, kto by się spodziewał takiej zamiany? Jednak, jak to bywa w takich przypadkach kto się spodziewał, jedynie się rozczarował, bo nasze jedynie półgodzinne oczekiwanie, trwa jeszcze drugie tyle. W końcu, pojawia się zastępstwo i nagle robi się bardzo przytulnie, bo autobus ma mniej miejsc i wszelkie dystanse między nami zanikają. Kolejny egzaminowany przedstawił nam nowego szofera, a z tyłu pada przytomne pytanie: „Jak też będzie miał na imię nasz następny kierowca?” Po takiej przerwie w podróży, nie pozostaje już nic innego, jak porzucić dalsze punkty wycieczki i udać się na obiad do Polanicy Zdrój, po którym zostaną ogłoszone wyniki.

Rozpierzchlił się więc w poszukiwaniu przytulnych restauracji, aby posilić się przed ostatnim, może najważniejszym, punktem całego wyjazdu. Zbieramy się ponownie w Parku Zdrojowym, gdzie komisja nie tylko ogłasza wyniki, ale wyraża bardzo pozytywną opinię o zdających. Rozlegają się gratulacje i radosne okrzyki, jednak nie wszyscy mogą świętować. Niestety dwie osoby nie wykazały wystarczającego przygotowania, jednak otrzymują od komisji słowa otuch i motywacji do dalszej pracy. Również grupa wsparcia, mimo, że bardzo cieszą nas sukces pozostałych, nie może zacząć świętować, nas dopiero to czeka. Do tej pory nie było czego zazdrościć, jednak w tym momencie, dała bym wiele aby być już na ich miejscu. Od tego momentu jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki cała grupa, teraz już pełnoprawnych przewodników sudeckich, rozgaduje się i rozwesela na dobre. Głośna gromadka, rozpoczyna podróż do domu. Za oknami piękny zachód słońca, a w sercach większości wielka radość, której nie sposób nie poczuć. Mimo, że Kuba już „nie może”, a zepsuty autokar wciąż stoi tam, gdzie go zostawiliśmy, cały wyjazd należy zaliczyć do bardzo udanych. Mimo, że jestem tylko obserwatorem wiele się nauczyłam i nie żałuję, że było mi dane uczestniczyć w egzaminie, mimo... że nie było mi dane go zdać :)>.

Wracając do nieszczęsnego autokaru, to następnego dnia, nadal stał w tym samym miejscu, a ruszył dopiero we wtorek. Muszę w tym miejscu również zdementować pewne insynuacje, jakoby to grupa wsparcia maczała palce w tej awarii. Rzeczywiście przez całą podróż zajmowaliśmy ostatnie siedzenia i rzeczywiście tam też znajduje się silnik, jednak z jego niedyspozycją nie mamy nic wspólnego.